№ 56. Wtorek, dnia 26 Października 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
d. 14 (26) Października
1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
" " na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
" " kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350
(nowy 11).

Pod Krucyfiksem.

(Z WIKTORA HUGO.)

Pójdźcie tu smutni,—oto Bóg co płacze;
Pójdźcie trwożliwi,—uśmiech ma serdeczny;
Pójdźcie cierpiący,—On koi rozpacze;
Pójdźcie znikomi doń,—bo On jest wieczny!

G. C.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg.— Patrz Numer 55).

Rodzice tulili do piersi Annę i wśród łez błogosławili. O! ciężka i radosna zarazem była to chwila dla państwa Gasztoldów; radosna, bo widzieli zapewnioną przyszłość ukochanego dziecka, wierzyli w szczęśliwe jej pożycie z młodym Zadorą, którego coraz więcej szacowali; ciężka, bo czuli, że odtąd uczucia ich pieszczotki już tylko cząstką do nich należeć będą. Podkomorzy z Gasztoldem rozrzewnieni rzucili się sobie w objęcia. Starodawnym zwyczajem przyniesiono na tacy opleśniałą butelkę węgrzyna i kielich z herbem Gasztoldów. Podkomorzy podniósł kielich w pół czoła i wyrzekł: „Za pomyślność przyszłej pary, mości dobrodzieju!" i głos mu zadygotał, znać z serca popłynęło życzenie. Tu nastąpiły nowe uściski, nowe powinszowania. Podkomorzy odjechał a w niespełna godzinę pełnym kłusem wjechał na dziedziniec Janusz, zeskoczył z konia, w dwóch skokach przebył schody, wbiegł do pokoju i z uniesieniem dziękował rodzicom, a Anny, już teraz niezaprzeczenie swojej, rączki całował i do piersi tulił, a szczęście łuną mu z oczu biło.

W parę miesięcy potem przed kościół parafialny strojno i huczno zajechał liczny orszak weselny, a sędziwy proboszcz od serca pobłogosławił dozgonny związek Janusza i Anny. Na wesele do domu rodziców panny młodej zjechali się wszyscy i dalsi i bliżsi sąsiedzi, osypano serdecznem życzeniem i błogosławieństwem młodą parę, bawiono się wybornie do rana i na drugi dzień Janusz powiózł młodą małżonkę do Starego Dworu. Na progu spotkała ich pani Zadorowa, szczęśliwa i rozrzewniona pobłogosławiła pochylonych u jej nóg syna i synowę, poczem podała Annie tacę na której leżały chleb, sól, plastr miodu i klucze.

Anna z tacą w ręku przestąpiła próg domu, którego odtąd została zupełną gospodynią, gdyż pani Zadorowa zdała natychmiast synowej rządy gospodarstwa, wypoczywając już dalej w spokoju.

Kiedy się to dzieje, Wanda tymczasem zwiedziła prawie całą Europę południową. Senatorowa coraz powolniejsza jej woli, coraz bardziej zawojowana przez piękną synowicę, która mocą przewagi umysłowej opanowała ją najzupełniej, powodowała się zachceniem Wandy i nie krępowała jej w niczem. Pod taką reprezentacyą młoda despotka nasza bujała sobie swobodniej, zadawalniając samowolną fantazyą podyktowane zachcianki, i tak objechały główniejsze południowe miasta: Rzym, Neapol, Wenecyę i t. d. zawierając coraz szersze i coraz świetniejsze znajomości, o które tak łatwo w podróży tym, którzy rozszerzając swe stosunki, zadawalniają się tylko światłem powierzchownem.

Kółko otaczające senatorową i piękną jej synowicę zwiększało się codzień, nazwisko senatorowej Krasnopolskiej i jej stanowisko dobrze znane bawiącemu zagranicą polskiemu towarzystwu, komfort jakim się w podróży umiała otoczyć, piękność, rozum i talent zawsze i wszędzie w około siebie rzucającej czar Wandy, wszystko to gromadziło w około nich kwiat rozmaitych narodowości turystów, jacy się pod ręką znaleźli. Razem przejeżdżano z miejsca na miejsce, razem robiono wycieczki w okolice, w góry, do krateru Wezuwiusza, na laguny Wenecyi, na Alp szczyty, na Genewskie jezioro, w Pirenee i t. p. Wanda wszędzie jaśniała i była w swoim żywiole, widziała się wśród szerokiego świata i czuła że wśród niego coraz więcej na widowni staje. Jest to w naturze ludzkiej, że ze wszystkich złych skłonności jakie człowieka napastują, próżność najłatwiej się wciska i najlepiej i najpospieszniej działa.

Niedawno jeszcze Wanda pragnęła szerszego pola, widowni na to, aby na niej silniej i szerzej działać mogła; dziś już nie tyle myślała o działalności ile o widowni tej działalności, pragnęła stanąć na świeczniku o ile można najjaśniejszym, chciała hołdów i rozgłosu, aby zapanować nad tłumem. Po kilku miesiącach wędrówki, senatorowa z Wandą stanęły w Paryżu, który miał być głównym celem ich podróży. Według swego zwyczaju senatorowa zajęła pokaźny apartament przy jednej z głównych ulic miasta i urządziła go wybornie, miały bowiem tu zabawić czas jakiś. W Paryżu jest i było zawsze pełno domów polskich, towarzystwo francuzkie też łatwo się z polskiem wiąże, były więc wszystkie dane po temu, ażeby salon pani Krasnopolskiej mógł być świetnym i uczęszczanym licznie.

Tak sobie rokowała senatorowa i przygotowała się na to; Wanda była najzupełniej tego pewna, aż nadto wypróbowała swoje siły w tym względzie, wiedziała, że gdy zechce, będzie miała roje wielbicieli o kobiety jej niebardzo chodziło a wreszcie wiedziała, że i te się znajdą w salonie stryjenki, która biegła w rzeczach mody, konwenansów światowych i salonowem ujęciu, miała dar jednania sobie i stania się potrzebną kobietom najbardziej światowym. Są ludzie których możnaby porównać do cyganów, co to nie znają czem jest tęsknota i nawyknienie do rodzinnej ziemi, nie myślą nawet o tem gdzie się rodzili, wszystko im jedno gdzie żyją, gdzie głowę na wieczny spoczynek położą, w każdej chwili i na każdem miejscu gotowi rozbić swoją szatrę, a byle znaleźli warunki do swego bytu i usposobienia potrzebne, tak się czują zadowolnieni, jakby od wieków tu żyli. Do takich należała i senatorowa; w Paryżu urządziła się i zaaklimatyzowała tak łatwo jakby się uro-

działa w stolicy Francuzów; ani jej na chwilę nie zabrakło własnego kraju, Warszawy, do której mogłyby wiązać ją przecie stosunki pokrewieństwa dawnej przyjaźni, dom własny, dawni słudzy, do których jeżeli nie przywiązać się, to chociaż przywyknąć mogła; wszystko to jej nowe, obce, najęte zastąpiło łatwo.

Jakoś w parę tygodni po przyjeździe i rozlokowaniu się w Paryżu, pewnego rana około godziny dwunastej senatorowa w rannym eleganckim szlafroczku weszła do gabinetu Wandy, która w białym penioarze, w zupełnym negliżu, jeszcze nie uczesana leżała na szezlągu z książką w ręku, którą czytała z zajęciem. Na widok wchodzącej czytać przestała ale się nie podniosła, senatorowa podeszła i pocałowała ją w czoło:

— Dobry dzień, mój aniołku, dowiedziałam się od Charlotty żeś już wstała i przychodzę cię przestrzedz, że bardzo nie dobrze robisz, iż tak wcześnie z łóżka wychodzisz. Nie uwierzysz jak bardzo szkodzi na płeć takie nagłe ochłodzenie skóry, przejętej nocną transpiracyą; skóra przez to grubieje i traci przezroczystość.—Wanda się uśmiechnęła:

— Mniejsza tam o płeć, nie sądzę ażeby moja tak łatwo zgrubieć miała.

Senatorowa się oburzyła.

— Co też ty mówisz moje dziecię, mniejsza o płeć! Płeć to większa połowa piękności kobiety, a zeszpetnieć, to już lepiej nie piękną się urodzić, bo się wtedy swojego nieszczęścia nie tyle czuje przynajmniej.

— Przyznaję, że i ja bym zbrzydnąć nie chciała, ale może to być ażeby ranne wstanie tak bardzo szkodliwie na delikatność płci działać miało?

— Chciej wierzyć, aniołku, mojemu w tej mierze doświadczeniu, ten sekret odkryła mi na krótko przed swoją śmiercią moja przyjaciółka jenerałowa D., sławna piękność swojego czasu, która do późnej starości przechowała płeć cudownie piękną, zachowując się w ten sposób; mówiła mi ona, że przez cały ciąg jej życia nie było rzeczy tak ważnej, któraby ją zdołała zmusić do wyjścia z łóżka przed godziną pierwszą z południa.

— Cóż ja zrobię, stryjeneczko, kiedy tak przywykłam do rannego wstawania w tem nieznośnem Zalesiu, że w żaden sposób długo uleżeć w łóżku nie mogę.

— Trzeba koniecznie się odzwyczaić od tego nałogu.

— Ależ i stryjenka jakoś dzisiaj wcześniej niż zwykle wstała.

— Wczoraj zamówiłam na dzisiejszy ranek tapicera by zawiesił firanki i portyery, a zapomniawszy o tem że jesteśmy w tym nieoszacowanym Paryżu, dzisiaj jak tylko się obudziłam, kazałam sobie podać pantofelki i szlafroczek sądząc, że mi wypadnie samej się jeszcze rozporządzić i dopilnować; tymczasem wychodzę i znajduję wszystkie firanki i portyery najpyszniej udrapowane, gustownie upięte, wszystko skończone, tylko chłopca czekającego z rachunkiem. Czyżbym ja miała w Warszawie podobną siurpryzę? Prawda że każą tu sobie suto płacić, ale za to usłużonym się jest po królewsku.

— A już to istotnie Paryż po Warszawie takie robi wrażenie, jak Warszawa po Zalesiu; często jeszcze sobie myślę, jak ja na takiem pustkowiu wyżyć mogłam.

— A propos Zalesia, czy też pisałaś już do nich choć raz przynajmniej Wandeczko?

— Ach nie, stryjenko, dotąd jeszcze zebrać się na to nie mogę.

— Wypadałoby jednakże mój aniołku.

— Wiem ja to że należałoby to zrobić, ale cóż do nich pisać będę? Za szczera jestem na to, ażebym mogła im pisać że tęsknię do nich, bo tak nie jest; trudno mi znowu pisać, przyzna stryjenka, że tak jestem szczęśliwa, iż wyrwałam się z tej ich klatki; wreszcie napisać to znaczy: otrzymać jako odpowiedź list łokciowy od cioci pełen morałów, na którego wspomnienie aż mnie dreszcze przejmują; wszystko to są powody które już kilka razy pióro z ręki mi wytrąciły.—Wanda jeszcze wszystkiego nie powiedziała, gdyż podobno najważniejszym powodem jej milczenia było, iż chciała tym sposobem poniekąd zerwać, kazać o sobie zapomnieć i wysunąć się ostatecznie z pod opieki Gasztoldów. *(D. c. n)*

PRZY WARSZTACIE.

(K. J.) Nikt nie zaprzeczy, że w dziejach naszego społeczeństwa czas obecny jest czasem reformy; że w przeciągu ostatnich lat kilku, zaszły ogromne zmiany w pojęciach i przekonaniach tej właśnie części naszéj społeczności, w której koncentruje się głównie ruch umysłowy, którą nazwać możemy najwięcej intelligentną, — to jest w klassie średniej.

Komu nie obojętne są sprawy społeczne, ten nie mógł nie zauważyć pewnego ruchu postępowego, który pomiędzy tą klassą od lat kilku powstał i ciągle naprzód i naprzód się wyrywa. Pozbyto się wielu zastarzałych uprzedzeń, wyrobiono zdrowsze poglądy, nauczono się myśleć; a chociaż nie można powiedzieć że bieżymy szybko po drodze prowadzącéj do moralnego i materyalnego rozwoju, to jednak przyzna każdy iż nie cofamy się, nie stoimy na miejscu, lecz chociaż powoli posuwamy się naprzód. Świadczy o tem wzrastające ciągle zamiłowanie do czytania, świadczy niepraktykowany u nas dotąd rozwój prassy peryodycznéj, i świadczy nakoniec pewien zwrot ku praktycznéj i pożytecznéj pracy ręcznéj.

Nie tak dawnemi są czasy, w których pracę fizyczną uważano za poniżającą i ubliżającą godności człowieka,—nie jeden ojciec wolał widzieć swego syna przy biurowym stoliku, aniżeli pracującego przy warsztacie z młotem lub pilnikiem w dłoni. Dziś w znacznej części pozbyto się tych uprzedzeń, a młodzież garnie się do warsztatów, wiedząc o tem, że znajdzie na tem polu stanowisko dające byt niezależny i pewny a uczciwie zarobiony kawałek chleba. Niejednokrotnie się zdarza, że młodzieniec ukończywszy kilka klass, a nawet i cały kurs gimnazyalny, bierze za topór ciesielski lub ślusarski pilnik, i rozpoczyna praktykę w trudnym, ale wdzięcznym zawodzie rękodzielniczym.

Skutkiem tego zwrotu w przekonaniach wykształceńszéj młodzieży, zwiększył się

U OGNISKA.

IV.

Dziwne to miasteczko, ta nasza poczciwa Warszawa. Jakkolwiek w tej chwili cicha jeszcze, jakkolwiek rozmiarami niemoże być porównywaną ze stolicą świata Paryżem, a nawet i z pomniejszemi: Londynem, Wiedniem i Berlinem, jakkolwiek nader często żyje parafialnem życiem, treść takowego jednakże jest tak obfitą w sprawozdawczy materyał, że kronikarz wasz, pomimo ścisłości i zwięzłości pisarskiéj właściwej jego wyrobniczemu piòru, nie jest w stanie i setnej części objawów ruchu, myśli i czynu w swoim tygodniowym *ogniskowym* felietonie pomieścić. Więc drobniejsze i lżejsze pomijać musi milczeniem; puściwszy bowiem wodze wrodzonemu polskiemu gawędziarstwu i gadulstwu, o iluż to przeróżnych rzeczach nie przyszło by mu prawić. Ale cóż—ramy *odcinka* za szczupłe, za ciasne; wsuwamy w nie zatem tylko to co ważniejszem zdawać się może na dobie—a nasz *pegaz* felietonistyczny, nierozkiełznywany z dnia na dzień, od tygodnia do tygodnia, choć rwie się, choć chciałby polecieć, popędzić, ba!—nawet czasem *ponosić*,—prowadzony na munsztuku, *stępem* tylko idzie do wytkniętego celu, po zakreślonym *torze*. Ztąd może zbyt często wiele i wiele przedmiotów będzie niewyczerpanych, niedość gorąco podniesionych, niedość żywo i barwnie opisanych, ale temu nie kronikarz twój czytelniku i czytelniczko „Ogniska" winien, jeno *kochana Warszawka*, poczciwe miasteczko. Po co w niej tak gwarnie, tak rojno, po co miliony projektów wyrasta na nieurodzajnym *brukowym* gruncie, które nader często jak *inspektowe grzyby*, przedwcześnie starzeją i giną, chociaż służą *smakoszom* kulinarnych dziennikarskich przysmaków za *pieczarkową* przyprawę. Cokolwiek bądź, wyrastają, i jeśli jak „muzeum techniczno-przemysłowe" od razu nie kończą suchotniczego żywota, zajmują one czas jakiś umysły.... bo.... bo.... co prawda.... zająkując się trochę.... powiedzmy.... jakkolwiek wiele, bardzo wiele złego dzieje się u nas, zdarzają się nader często objawy pracy, pocieszającéj serce uczciwego człowieka. Co dzień zamiar jakiś zacny i szlachetny, co chwila myśl jakaś rodząca się, co moment fakt doniośléjszy — dajże sobie z tem wszystkiem radę, i rozgadaj tu się *o tem* wszystkiem obszernie. Nie można, niema sposobu — ani rusz. Chyba że chwytając różnobarwną nić myśli obcéj, nakręcimy ją z *eskamoteryą*, felietonistom właściwą, na nasz kołowrotek, kręcąc go obecnie *polemicznym* ruchem.

„Niwa" dwutygodnik naukowy, literac-

napływ ludzi do warsztatów, a panowie majstrowie zaczęli przyjmować na naukę praktykantów.

O tych właśnie praktykantach pragniemy parę słów naszym czytelnikom powiedzieć, i wykazać co spotyka młodego człowieka przy wstąpieniu do nowego zawodu.

Są dziś dwa rodzaje uczniów w rzemieślniczych: terminator, który nic za naukę nie płaci, ale musi przebyć u majstra kilka lat, stosownie do umowy, a przez ten czas pełni różne posługi, nosi wodę, czyści buty, zamiata warsztat, i jest w dodatku popychany, szturchany i bity;—i praktykant, który płaci za naukę i stół, i nie bywa używanym do robót przy kuchni pani majstrowéj.

Młodzież, o której mówiliśmy na wstępie, zapisuje się zwykle na praktykantów — ale ciężkie przechodzić musi koleje zanim przebędzie lata owéj praktyki. Trzeba rzeczywiście chłopca z silną wolą i silnym organizmem, ażeby przebył te kilka lat pierwszych nowo-obranego zawodu.

Ulokowany w mieszkaniu pozbawionem wszelkich warunków sanitarnych, żywiony źle, musi pracować od świtu do nocy, doznając gburowatego i szorstkiego obejścia ze strony pana majstra i czeladników, którzy z pewną niechęcią spoglądają na młodzież mającą umysłową przewagę nad nimi.

Wyobraźcie sobie że chłopiec przyzwyczajony nie do zbytków, ale do zwykłego porządnego życia, zostaje umieszczonym w wozowni lub na strychu, gdzie nieznośne zimno w zimie, a pełno robactwa w lecie — gdzie przez szczeliny w ścianach wiatr wieje, gdzie niema pieca, i gdzie na przestrzeni kilkunastu łokci kwadratowych sypia dziesięciu ludzi.

O godzinie szóstéj z rana musi on już stać przy warsztacie, a pracę dzienną kończy o siódméj wieczorem lub późniéj — jedyne zaś wytchnienie ma w porze obiadowéj, przez godzinę lub półtoréj. Podczas roboty nasłucha się różnych żartów, obrażających ucho jako tako wychowanego człowieka, a pan majster i czeladnicy nie dobierają wyrazów na określenie swego niezadowolenia lub gniewu.

Po sześciu dniach takiéj pracy, następuje upragniona Niedziela, dzień wytchnienia i wypoczynku. Dobrze jeszcze jeżeli chłopiec ma kogo z krewnych lub znajomych, u których może ten dzień w przyzwoitem towarzystwie przepędzić; lecz jeżeli przybył z prowincyi — jeśli w mieście niema nikogo z blizkich, wówczas pozostaje cały dzień w tem samem otoczeniu, ponieważ bez towarzystwa obejść się nie może. Co najmniej dwa lata takiéj próby go czeka zanim praktykę ukończy i zacznie zarabiać na swój własny kawałek chleba. Dwa lata musi mieszkać w szopie, pracować ciężko będąc bardzo licho i nieodpowiednio żywionym, i znajdować się bardzo często w towarzystwie ludzi nieraz wielce poczciwych, ale nieokrzesanych, nieprzebierających w wyrażeniach, jednem słowem w towarzystwie takiem, które dobrego wpływu nie wywiera. Dodajmy do tego szorstkie i przykre obejście się pana majstra i czeladników, — a przyjdziemy do wniosku że wykształceńsi młodzieńcy wstępujący do warsztatów, przechodzą bardzo ciernistę ścieżki, drogo okupują swoją przyszłość.

Jednak zwrot tej młodzieży ku pracy ręcznej, jest objawem bardzo pożądanym i pocieszającym; a każda wykształceńsza jednostka wstępująca w świat rzemieślniczy jest ważnym dla społeczeństwa nabytkiem, gdyż z owych jednostek będziemy kiedyś mieli światłych i porządnych rękodzielników, których nam tak bardzo brakuje

Kreśląc powyższe wyrazy nie mamy zamiaru odstręczania młodzieży od pracy w warsztatach; przeciwnie chwalimy tych którzy już poszli tą drogą i życzymy aby więcéj naśladowców znaleźli—odezwaliśmy się zaś w tej kwestyi dla tego, ażeby na nią zwrócić uwagę myślącego ogółu, ponieważ kwestyę tę uważamy za ważną i zasługującą na bliższe rozpatrzenie.

Przyszliśmy już przecie do tego przekonania, że przemysł i handel są głównemi dźwigniami dobrobytu naszego społeczeństwa, a skutkiem tego należy zwrócić baczną uwagę na ludzi pracujących w rzeczonych zawodach. Wykształcenie bowiem i umoralnienie klass pracujących, podnosząc je i uszlachetniając duchowo zostaje zarazem w bezpośrednim związku z rozwojem przemysłu i wzrostem dobrobytu.

Widzimy już oto w naszych murach szkołę handlową z szerszym programem nauk, dla czegóż obok niej nie miała by stanąć szkoła rzemieślnicza? Jaki ogromny wpływ wywarłaby ona na nasz świat rzemieślniczy, o tem zdaje się mówić byłoby zbytecznie; ważność i doniosłe znaczenie tego wpływu łatwo naprzód przewidzieć i obliczyć.

Ale zanim stanie taka szkoła (do czego kiedyś bezwarunkowo przyjść musi)—czas jest wielki, aby społeczeństwo obejrzało się na tych maluczkich członków swoich, którzy ciężko pracują, i aby chciało ściślejszą nad niemi rozciągnąć kontrollę.

Młodzież ucząca się w zakładach naukowych doznaje prawdziwie ojcowskiej opieki; dbają o jej moralność, o warunki sanitarne, w jakich się w szkole i na stancyi znajduje — gdy tymczasem młodzież pracująca w warsztatach, traktowaną jest prawdziwie po macoszynemu. Niech nam wolno będzie uczynić w tem miejscu pytanie: jaką wyższość ma mieć dzieciak ze szkoły nad dzieciakiem z warsztatu? Jeden i drugi uczy się—jeden i drugi pracuje—jeden i drugi może stać się w przyszłości ozdobą społeczeństwa lub jego zakałą.

A jednak społeczeństwo dba o to, aby jeden miał ciepło, widno i przestrono, a nie chce wejrzeć w to, że drugi oddycha okropnem powietrzem, dusi się w ciasnocie i pracuje w ciemnéj zakopconéj izbie.

Czyż w tym razie społeczeństwo nie jest macochą?

Zanim dojdziemy do tego że będziemy mieli porządne szkoły, w których będą uczyli rzemiosł,—zanim doczekamy tych czasów, a umoralniony rzemieślnik sam będzie traktował swych praktykantów i terminatorów jak ludzi, że zrozumie to — iż człowiek potrzebuje oddychać powietrzem i ja-

---

ki i artystyczny, pismo redagowane przez ludzi *dobrej*, chociaż odmiennej od naszej, *wiary*, przez zdolnych pisarzy, przez ludzi zapału i serca, którzy jednak niedawno temu jeszcze uważali zapał jako materyał palny godny fajerwerku a nie ogniska,.. otóż *Niwa* zamieściła w ostatnim swoim zeszycie wstępny artykuł „Nasza młodzież“ który nas ucieszył serdecznie. A dla czego?— raczcie posłuchać. Cytujemy: ,,Dzień za dniem mija, pokolenie za pokoleniem — a sprawy społeczne plączą się i układają w jedno harmonijne pasmo, z kłębka przeszłości wysnute. Po burzach przychodzą długie chwile orzeźwiającego spokoju; spokoju który da jednych jest wytchnieniem tylko, dla drugich słodkiem *far niente*,—dla innych wreszcie,tych którzy patrzą i obserwują — przedmiotem rozwagi. Nauczyliśmy się rozważać — *po szkodzie*. Ogół jednak nie lubi tych co rozważają; dobrze mu spać i marzyć o przeszłości, gniewa się gdy ostrem słowem do czynu wołają — bo przywykł usypiać przy dźwięku bałwochwalczych pieśni, słuchać tych co mówią o jego zasługach, o jego bohaterstwie, o jego boleściach, i lęka się jak ognia który zapala, owych nowych pochodni oświecających drogi nowe i wskazujących potrzebę nowych prac dla wielkich celów... Pamiętasz czytelniku... to nawoływanie do przemysłu, do handlu, te sztandary postępu wywieszone w kilku naraz punktach? Powiedz! Gdzie to wszystko?“... Z tych okrzyków pełnych wiary i nadziei została ledwie drobna garstka czynów i faktów, i... smutny rezultat nad którym bolejemy wszyscy jednako, oto to, że *młodzież nasza zestarzała się* przedwcześnie.

Na nieuprawiony grunt rzucaliście ziarno potrzebujące *ogrodniczych* starań, krzewiliście pojęcia, które muszą zmateryalizować społeczeństwo niedojrzałe; zamiast myślicieli i pracowników, pokolenie przez was kształcone wydało karyerowiczów, rachmistrzów, ospalców. *Kantor* rozsiadł się w handlu na pierwszem, honorowem miejscu, przemysł dostaje pieniądze tylko na wygórowany procent, korzyści rolnictwa wymykają się z rąk doświadczonych agronomów, a wtenczas kiedy my z wami kłóciliśmy się serdecznie i zapamiętale, pełni z jednej i drugiej strony szlachetnego ferworu, przyszedł cały zastęp obojętnych, spokojnych, zimnych, którzy przykryli się waszym płaszczykiem, nie mając najmniejszego pojęcia co on oznacza, i w imie waszych *niby* teoryj, wydziedziczyli pozytywistów i idealistów z najdroższego im skarbu— z młodości. Sen dzisiejszy jest okropnym snem bez marzeń, nie tym o którym poeta śpiewał, a miał według waszych przekonań zostać „ideałem cnoty“. — Otóż ucieszyliśmy się szczerze że przyznaliście to sami, — nie dla czczej radości polemicznej, bo w apa-

dać pożywne potrawy—zanim nareszcie nawoływania panów majstrów do porządku będą zbytecznemi — powinniśmy robić co można, aby los nieszczęśliwych młodych pracowników warsztatowych polepszyć i osłodzić.

Panowie majstrowie mają zawsze na to jedną i tę samą odpowiedź, że i oni młodość swoją spędzili w podobnych okolicznościach—a jednak żyją i pracują. To nie jest argument niezbity, gdyż ludzkość ciągle postępuje i dąży do rozwinięcia tak moralnego jak i materyalnego bytu jednostek.

Zagranicą los terminatorów rzemieślniczych nierównie jest znośniejszym, nie dla tego wszelako że znośniejszym był przed laty, lecz dla tego że tam wyprzedzono nas znacznie na drodze racyonalnego postępu, który szanuje człowieka nietylko jako człowieka, ale nawet jako siłę produkcyjną, jako kółko w wielkiej maszynie społecznéj, której psuć nie należy.

Do tego celu prowadzą rozmaite drogi — a przedewszystkiem prassa peryodyczna nie powinna zamilknąć w téj kwestyi dotąd, dopóki nie wywoła pożądanéj reakcyi.

W naszem społeczeństwie prassa posiada duży wpływ, i za jej sprawą nie jedna już poczciwa myśl weszła w wykonanie.

Tak zwane *zgromadzenie starszych cechowych* powinno także zwrócić uwagę na rzeczoną kwestyę, i zająć się rozpatrzeniem położenia młodszych swoich braci. Starsi zrobiliby tym sposobem czyn prawdziwie obywatelski i godny pochwały.

Nakoniec ci panowie, którzy tak bezinteresownie ponoszą trudy dla kształcenia klass pracujących, i corocznie urządzają pięcio-kopiejkowe odczyty, powinni by obrać za temat do swych prelekcyj smutne obrazy dzisiejszego położenia warsztatowéj młodzieży i wskazanie środków zaradczych.

W szeregu odczytów należałoby przeprowadzić główną myśl przewodnią, którąby miała na celu otworzenie oczu naszym rzemieślnikom, i przekonała ich że człowiekowi potrzeba wygodnego kąta i pożywnéj strawy, że bez tego niema zdrowia, ani sił potrzebnych do pracy; przekonanie ich, że terminator i praktykant także są ludźmi, z któremi po ludzku obchodzić się należy. Jednem słowem trzeba przemówić do nich, wytłumaczyć im potrzebę zmian żądanych, a wówczas kwestya polepszenia bytu pracującéj młodzieży posunie się chociaż o jeden krok naprzód, czego w interesie naszéj społeczności gorąco pragnąć należy.

W owym zwrocie ku produkcyjnéj pracy ręcznéj, przyjęły także udział i kobiety, z gorączkowym niemal zapałem rzuciwszy się do nauki różnych rzemiosł; w jednéj z najbliższych pogadanek, postaramy się przedstawić szanownym czytelnikom i czytelniczkom naszym ten nowy świat działalności kobiecéj, z wykazaniem jego stron dodatnich i ujemnych.

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

Maurowie, daremnie przeszkadzać usiłując owemu zabudowywaniu się nieprzyjaciela pod samego miasta swego bramami, przeczuwali, że wkrótce straszliwy głód im zagrozi i wyczerpie resztki ich odwagi. Pola i zbiory zniszczone, dostawy żywności wszelkiéj przerwane, coraz bardziej tę rozpaczną chwilę zbliżały. Na domiar złego, niesnaski wkradły się między oblężonych, a emir Abdallah swem niepolitycznem postępowaniem ostateczną zagładę państwa swego przyśpieszać się zdawał.

Grenada oddawna już niepokojoną była zawziętością i nienawiścią która wrzała między dwoma znakomitemi rodami: Zegrisów i Abenserragów. Wojownicze te pokolenia, odznaczające się zarówno walecznością swych rycerzy, świetnością rodu i dostatków, jak liczbą swych stronników, zawistnem okiem na wzajemną wielkość patrzały; a zawiść ta była przyczyną nie jednéj już srogiéj zbrodni i śmiertelnéj walki.

Wodzem pokolenia Zegrisów był wtedy *Mohamed*. Człowiek ten zarówno podstępny jak krwi chciwy, widząc coraz bardziéj wzrastającą u ludu wziętość Abenserragów, którzy w potyczkach z chrześcianami cudów waleczności dokazywali, postanowił jednym zamachem pozbyć się na zawsze znienawidzonych przeciwników. Chwytając się więc niegodnéj oszczerstwa broni, potrafił wmówić w emira, że Abenserragowie tajemną umowę z chrześcianami zawarli, by im bramy miasta otworzyć, a chcąc bardziéj jeszcze zapalić gniew i chęć zemsty Abdallaha, doniósł mu, że Alfaima, najukochańsza z małżonek emira, wiarołomną miłością dla Ali-Ahmeda, wodza Abenserragów płonie.

Władzca muzułmański wściekłość swą ukryć jakiś czas potrafił, gdyż gotował w duszy zemstę straszną, niespodzianą. Wodzowie Abenserragów w dni kilka późniéj zostali zaproszeni na wspaniałą ucztę do pałacu Alhambry. Przybyli bezbronni, świetni i strojni, w liczbie trzydziestu sześciu; lecz zaledwie przestąpili bramy i weszli w wewnętrzne podwórze, zwane podwórzem *Lwiem*, wymordowani zostali z rozkazu emira, przez zasadzonych na nich katów.

Ta śmierć okropna trzydziestu sześciu rycerzy, znakomitych rodem, odwagą, czynami bohaterskiemi i zasługami swemi, którzy tak podłéj zemsty stali się ofiarą, jest jedną z najstraszniejszych tragedyj średniowiecznych czasów, a pamięć jéj przykutą została do miejsca, które téj zbrodni widownią było. Z całego pałacu Alhambry, *podwórze lwie* najmniéj ucierpiało od niszczącéj czasu ręki; dwanaście lwów marmurowych, od których nazwisko swe wzięło, nie przestało wyrzucać z swych paszczy strumieni świeżéj wody; ani jedna z lekkich, cudnie rzeźbionych marmurowych kolumn, otaczających podwórze, nie zachwiała się ani nie pękła — pokazują ci nawet wązką żelazną furtkę, która zam-

---

tycznej drzemce obecnej chwili i walka nawet nie jest już możliwą, nie zgromadzi bowiem ani widzów ani słuchaczy, — ale z powodu że ze swej strażniczej baszty nawołując do pracy, wołać będziecie przeciw ospalstwu straszniejszemu od dawnego, bo grzebiącemu pod pozornem zajęciem dobro ogółu mającem na celu, bezduszne samolubstwo, na które nie ma lekarstwa. Niwa wasza, tak jak ją dziś orzecie, może wydać bogaty plon, aby tylko postępowy wasz pług zdzierając perz, zanieczyszczający pole, nie sięgał zbyt głęboko, wydobywając na wierzch jałowej ziemi skiby, — bo na przetworzenie się tej w rodzajną i użyteczną, długie lata czekać potrzeba; — a tymczasem owa darnią zbożową uroniona może długo marnie spoczywać, pozbawiona słonecznych promieni i powietrza.

Ale jak na teraz urwijmy nić polemiki bratniej i wiążąc z nią inną, o odmiennej barwie, zwijajmy dalej takową, na nasz felietonistyczny kłębek. Same złote i jedwabne włókna suną się pod rękę. Pierwszą z kolei będzie wiadomość przyjemna i pożyteczna dla matek i matron w naszym grodzie, o otwarciu nowej *czytelni*, która po raz pierwszy zaspokoi te moralne wymagania jakie już od dawien dawna stawialiśmy „bibliotekom do wypożyczenia czyli wynajęcia.“ P. Jan Jeleński, znany kollaborator wielu czasopism tutejszych i skrzętny pracownik na polu ekonomii politycznej, z wielką starannością zebrał przeszło dwa tysiące tomów z dziedziny popularno-naukowej i belletrystycznej, posiadających rzeczywistą wyższą wartość, a nadto odznaczających się nowością, wprowadzając do swego, *niefortunnie* dotąd u nas praktykowanego przedsiębiorstwa, — dwa działy, z których przedstawiciele i przedstawicielki rodzin, skwapliwie korzystać nie omieszkają. Jeden z nich poświęconym jest osobom starszym i dojrzałym, drugi dzieciom i dorastającym. Myśl tego połączenia i rozdziału zarazem, jest ze wszech miar godną pochwały, naraz bowiem, całe kółko rodzinne korzystać może z „czytelni“ a przeważnie to młodziutkie pokolenie nasze, dla którego książki i książeczki są nader często za drogie. Potrzebuje ono więcej lektury, ani żeli zdawać się może; —dorastając bowiem i ucząc się *na serio*, nie czas mu już myśleć o czytaniu, które rozświeca w główkach i rozwija w towarzyskim lub społecznym kierunku. Obydwóch tych względów lekceważyć nie wypada. Bo później w życiu strasznie brzydko jak panienka na wydaniu nie umie odróżnić księdza Wagi historyka, od Antoniego lub Jakóba Wagi, naturalistów,— albo Kondratowicza łączy w jedną osobistość z Kraszewskim, chociaż upiera się uważać go za całkiem *innego literata* —od Syrokomli; — albo nakoniec słysząc opowiadanie

knąwszy się za Abenserragami, żadnego żywcem nie wypuściła, a na kamiennych płytach są jeszcze plamy brunatne, niezatarte — to ślady krwi szlachetnéj!....

V.

Pierwotnym zamiarem emira, szaloną żądzą zemsty upojonego, było wytępienie całego pokolenia Abenserragów. Lecz młode pachole, giermek jednego z zamordowanych wodzów, przerażony szczękiem zbroi i jękami które doń dochodziły z za zamkniętéj furty Lwów Podwórza, zdołał się wymknąć z Alhambry i przybywszy do miasta, rzucił straszną wieść między pozostałych wojowników. Ci w jednéj chwili zebrani zbrojno, podeszli pod Alhambrę, a na widok zatkniętych na wałach trzydziestu sześciu głów ściętych rycerzy, w wściekłości swéj niepohamowani, bramę pierwszego podwórza wyłamawszy, trzystu Zegrisów trupem położyli. Noc dopiero téj bratobójczéj rzezi koniec położyła; lecz ta krwawa zemsta jeszcze im nie wystarczała; postanowili całem pokoleniem oddać się w ręce chrześcian, aby z niemi razem zdobywając Grenadę, żałobę serc własnych ukryć pod jéj zgliszczami.

Dnia następnego o świcie, zbrojny orszak kilkuset jeźdźców liczący, świetny i błyszczący, zbierał się na placu *Bivarambla*; byli to Abenserragowie gotujący się do porzucenia niewdzięcznéj ojczyzny. Już szyki formować zaczęto, gdy rycerz jakiś w całym pędzie rumaka zdążając od strony gór, stanął przed niemi. Był to Mussaben-Gazan, krewny emira, najwaleczniejszy i czczony od wszystkich stronnictw rycerz muzułmański.

— Dzieci Grenady, gdzie dążycie? krzyknął.

— Szukać zemsty! odpowiedzieli jednogłośnie.

— A znaleźć hańbę! odrzekł Mussa. Oh! umrzeć raczéj, niż widzieć spodlenie się najczystszéj krwi arabskiéj! Wstrzymajcie się, ojczyzna was wzywa, ta ojczyzna, która nie odpowiada za zbrodnię jednego człowieka!

Siwobrody Abenserraga wystąpił z szeregu swych braci, i w ich imieniu taką odpowiedź dał rycerzowi:

— Szanujemy i cenimy ciebie, Musso— bo wiemy że myśli twe i uczucia są czyste; lecz jeżeli przychodzisz od Abdallaha, to mu powtórz me słowa: Rzucamy miasto, gdzie każden kamień krwią naszych braci zbroczonym został. Idziemy do obozu chrześcian, a gdy nas Grenada znów ujrzy, to na zdruzgotanych murach Alhambry, na trupie jéj władzcy!

— O bracia moi! wołał Mussa, wstrzymajcie się! Chcecie zemsty? to chodźmy, ja z wami napadnę na Zegrisów, wymordujem ich do ostatniego; lecz ocalcie Grenadę, nie stawajcie się narzędziami nieprzyjaciela ojczyzny i wiary Proroka!

— Już za późno! Grenada nie powstała by nas obronić lub pomścić naszą krzywdę, niech Grenada będzie przeklętą! Wrócimy dopiero, gdy zgliszcza z niej zostaną!

— O, niech przekleństwo wasze na was samych spadnie! zawołał Mussa. Allah, który zarówno waszą ostatnią godzinę, jak i naszą przeznaczył, niech będzie sędzią między nami. Czyście tak prędko zapomnieli o bohaterskich czynach waszych praojców, w ciągłych walkach z chrześcianami? Toledo, Sewilla, Korduba mogły nam być odebrane, ale żadne z tych miast podłością się nie shańbiło; czyż Grenada ma być od nich gorszą? Gdy ojcowie wasi chwalebnie ginęli, wy chcecież żyć w znikczemnieniu? O Abenserragowie! słuchajcie głosu mego, to ojczyzna do was przemawia a Bóg się patrzy!....

Nie jedno serce zadrgało może w słuchaczach pod wpływem tych słów gorących, ale fatalne: *Już za późno*! brzmiało jeszcze w ich uszach. Arab nigdy nie cofa raz danego słowa, raz powziętego zamiaru. W grobowem milczeniu Abenserragowie zaczęli formować się do pochodu... Mussa zrozumiał tę niemą odpowiedź, skłonił w rozpaczy głowę na piersi, a gdy ostatni z Abenserragów zniknął już na widnokręgu, wtenczas dzielny rycerz z ciężkiem westchnieniem zwrócił swego konia ku murom Alhambry. W Grenadzie, odstępstwo Abenserragów okropną trwogę i rozpacz wznieciło. Ze wszech stron słychać było skargi i narzekania, mieszkańcy błądzili po ulicach z ponuremi twarzami i z groźnym wzrokiem imie emira powtarzali. Nieprzyjaciel był za murami, a wewnątrz rozpacz i niedowierzanie... „Któż już dziś Grenadę ocalić potrafi?“ wołą kronikarz ówczesny.

(*D. c. n.*)

Piętnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

(Ciąg dalszy.)

Wyznać muszę, że gdy pani Jacolliot skończyła swe opowiadanie, z mniejszą już ciekawością rozglądałem się dokoła, a to z przyczyny że... że lękałem się ujrzeć opalonego trupa wypływającego na żółtawą powierzchnię wody. Ten rodzaj grzebania umarłych wcale mi się nie podoba, zwłaszcza też jeżeli wypada żeglować po wodnym cmentarzu... Nie przyznawałem się wszakże do swoich wrażeń i składając chęć opuszczenia pokładu na wzmagające się gorąco, zszedłem do salonu, gdzie oprócz uprzejmych gospodarstwa, znalazłem ryciny, książki, szachy, słowem wszystko czem czas przyjemnie zapełnić można. Po obiedzie i partyi szachów z p. Stewens, gdy słońce się trochę zniżyło, wyszedłem znów na pokład aby się przyjrzeć okolicy. Zielone równiny ciągnęły się z obu stron rzeki, drzewa ani na lekarstwo. Mówiono mi że bliskość oceanu i częste zalewy gruntu sprawiają, że drzewa tam całkiem rosnąć nie mogą. Wszystkie pola obsiane jedynie ryżem, któren mimo wilgoci gruntu codziennie jeszcze polewać trzeba. Polewania tego dopełniają krajowcy przy pomocy niezgrabnych machin swego utworu i po-

---

o królu Popielu, którego myszy zjadły, uważa to za fantazyę ludową, bo wszakże w „Halce“ i w „Flicku-Flocku“ *Popiel* po dziś dzień dzielnie *wywija* mazura. A że się podobne nieobeznania i nieświadomości przytrafiają panienkom... a nawet kawalerom, którzy pisząc program amatorskiego teatru zapewniają że „Przezorna mama“ Blizińskiego „daną będzie amatorami“... to nie ulega wątpliwości. Przyznać jednak wypada, że umiejąc władać innemi językami, —mówiąc jak paryżanka po francuzku, jak mieszkanka Drezna po niemiecku, jak Rzymianka po włosku — wcale nie zaszkodzi wyrażać się przyzwoicie, właściwie i poprawnie w swoim własnym języku. Dla tego też przyklaskujemy tak gorąco „dziecinnej czytelni“ pana Jeleńskiego, uważając ją za rzecz potrzebną i ze wszech miar właściwie urzeczywistnioną. Zapewniano nas z dobrego źródła, że zakład liczyć może na zupełne powodzenie, liczba bowiem abonentów, od dnia otwarcia, 20 Października, zwiększa się ciągle i doszła już do wcale imponującej cyfry.

Mówiliśmy o języku powyżéj; — aczkolwiek wcale silną i krzepką jest nasza mowa, obawia się jednak ona wpływu uczonego nowatorstwa,—zwłaszcza że to jakoś wszędzie dziś w modzie i na czasie. To też w imie innowacyjnego postępu dziwne popełniają się herezye, i są uczeni pragnący po swojemu język nasz rodzinny *sturczyć*. Zwracamy na to uwagę czytelniczek „Ogniska Domowego“, mowa bowiem nasza w ręku niektórych filologów wygląda na dziecko gnębione pieszczotami kilku nianiek, gdy tymczasem to mąż dojrzały, zdrów i silny, jak każdy język żyjący, i aby się tylko ochrzcił w święconéj wodzie XVI stulecia, może śmiało biedz po drodze nowych idei, bez kucia fantastycznych terminologij, które najniesprawiedliwiej dzielą naukowe pojęcia, na nieprzyjazne obozy. W geniuszu dzieł swojskich dobrze i nieprzesadnie zrozumianych, leży byt krajowego wykształcenia. Tak dla języka, jak dla nauki, jak dla sztuki, chociażby w niekształtnych próbkach pozostawionych nam przez przeszłość, szukać należy wzorów dla przyszłości—bez tego nic skończenie artystycznego ani logicznego nie otrzymamy. Najjaśniejszym i najwybitniejszym tego dowodem jest muzyka. Nawet najświetniejsze orkiestracyjne kombinacye, opowiadające za pośrednictwem *pikuliny* i *trąbki pistonowéj*, dzieje jakiegoś legendowego bohatera, nie są w stanie scharakteryzować tyle pochodzenia swojego, co parę piosenkowych taktów ze śpiewnika Moniuszki, lub z albumu Chopina. Muza bowiem tych dwóch twórców, skąpana w tradycyonalnéj tonacyi, nie szukała nic nowego, nic *nie wyszukiwała*, a jeno *myśląc daléj* zgodnie z nutą i melodyą ożywiającą dąbrowy

mysłu, któremi pompują wodę z Gangesu co rano i co wieczór. Dopłynęliśmy wreszcie do ujścia rzeki i mieliśmy już żeglować daléj po Oceanie. Minąwszy kilka dużych okrętów, do których zaczepiano parostatki mające je zaciągnąć do Kalkuty drogą którą właśnie przybyliśmy, zarzuciliśmy na noc kotwicę wprost wyspy Soyor, czyli *Wyspy Tygrysów*, które ją prawdziwie zajęły w posiadanie. Zwierzęta te nie dozwalają tu zamieszkiwać ludziom, ilekroć bo wiem znęceni urodzajnością gruntów leżących odłogiem, osiedlić się tu chcieli, drogo przypłacali swą śmiałość. Co wieczór brakło kilku odważnych kolonistów pożartych przez tygrysy, pozostali zaś musieli wśród nocy odpierać prawdziwe oblężenia, z których jeżeli wyszli szczęśliwie, uciekali porzucając częstokroć przywiezione z sobą zapasy i narzędzia rolnicze. Zdarzyło się raz, 'że bogaty przemysłowiec zostawił tam całą osadę złożoną ze swych ludzi i niby przez zapomnienie kazał odpłynąć statkom które ich przywiozły, aby ich w ten sposób zmusić do wytrwania w pracy i obronie życia. Otóż powiadają, że tygrysy pożarły tych nieszczęśliwych co do jednego, a komisya zesłana przez rząd angielski dla ukarania nieludzkiego bogacza, przekupiona przez niego, zdała sprawę iż osadnicy uciekli wszyscy z wyspy, przebywając wpław przestrzeń dzielącą ją od stałego lądu. P. Stewens opowiadał mi inną jeszcze straszną legendę o téj wyspie, którą tu przytoczyć muszę. Bohaterem jéj był pewien amerykański kapitan okrętu.

Przybywając do Indyj po raz pierwszy, amerykański kapitan zarzucił kotwicę w pobliżu wyspy, a nie znając jej niebezpieczeństw, znęcony chmarą dzikiego ptastwa wzlatującą na wybrzeżu, wysiadł na ląd wraz z jednym człowiekiem aby użyć przyjemności polowania które lubił namiętnie. Gdy długo nie powracał, adjutant jego Molvault, francuz urodzony w Nowym Orleanie, umyślił wysłać ludzi aby go odszukali. Właśnie wtedy nadciągnął z Kalkuty sternik mający przeprowadzać okręt do portu i ostrzegł o niebezpieczeństwie.

— Kapitan wasz, rzekł, został niezawodnie pożarty przez tygrysy wraz z towarzyszem swoim i podobny los czeka każdego co się ośmieli iść w jego ślady. Molvault nie uląkł się tej przepowiedni i sam wraz z ludźmi swemi udał się na wyspę. Było ich dwudziestu i wszyscy dobrze uzbrojeni, żartowali z tygrysów. Chcieli odrazu puścić się w głąb wyspy, ale na szczęście swoje nie mogli się wprost przedrzeć przez sieć wijących się pomiędzy drzewami roślin. Umyślili więc iść wzdłuż wybrzeża; nie uszli jeszcze i wiorsty drogi gdy wypadło na nich z zarośli dwóch tygrysów. Dzięki celnym strzałom w kilka minut położyli je trupem. Odgłos wszakże broni palnej i wycie ranionych zwierząt zbudziło czujność innych mieszkańców wyspy. Groźny ryk dał się słyszeć w różnych stronach i zrozumieli wtedy że będą zgubieni jeśli tygrysy opadną ich dokoła; zaczęli spiesznie powracać do łodzi. Dopadłszy jej szczęśliwie, umyślili płynąć w tymże samym kierunku. Okrążyli całą wyspę strzelając z rewolwerów i wołając głośno zagubionych towarzyszy, w nadziei że im się odezwą. Żaden jednak głos ludzki nie odpowiedział na ich wołanie. Przez sześć dni następnych odważny adjutant wraz z ludźmi okrętowemi próbował odszukać swego kapitana, staczając walki z tygrysami które raz tak go obstąpiły, że pogryzły lufę od jego strzelby, i dopiero naraziwszy życie niejednokrotnie powziął przeświadczenie, że wszystkie jego poszukiwania były nadaremne. Pan Stewens z własnych ust jego słyszał później w Chandernagorze opowiadanie niebezpieczeństw na jakie się narażał wraz z dzielnymi swymi marynarzami. Dzień już był na schyłku gdy mi powtórzył tę ostatnią legendę wyspy tygrysów. Stojąc na pokładzie i patrząc na nią marzyłem o biednym kapitanie, który tu tak niespodziewanie znalazł śmierć pod zębem dzikiego zwierza. Nie przyjeżdżał on szukać wrażeń pod obcem niebem, lecz pragnął jedynie załatwić najspokojniej kupieckie interesa, gdy uległ strasznemu wypadkowi który go na zawsze wydarł rodzinie. Czułem głęboką litość dla biednego cudzoziemca i wyspa oblana teraz krwawą łuną zachodzącego słońca, wydała mi się być prawdziwie bramą do podziemnego mieszkania króla piekieł, jak mniemają krajowcy. W kilka minut po zachodzie słońca ogarnęła nas nieprzejrzana ciemność, o której wyobrażenie mogą mieć ci tylko, którzy przebywali w podzwrotnikowych krajach. Niepodobna było nawet rozróżnić najbliższych przedmiotów. Ponury odgłos bałwanów morskich pomięszany z szumem wód Gangesu, nie dodawał jej bynajmniej uroku, Zgromadziliśmy się wszyscy w naszym wesołym i pięknym salonie aby zatrzeć niemiłe wrażenia, i te ustępować poczęły zwolna przy ożywionej rozmowie, gdy nagle rozległ się ryk straszliwy, który napełnił nas największą trwogą.

— Boże! zawołała pani Stewens zbladła z przerażenia, sądziłby można że tygrys est o kilka kroków od nas... Słowa te przerwał ryk podobny pierwszemu, który, się następnie powtórzył po raz drugi i trzeci... Kobiety służebne zaczęły płakać, wołając że tygrysy z wyspy muszą być już na pomoście... Mężczyzni milczeli lecz mniej byli przerażeni. Co do mnie wyznaję, że wspomniałem z żalem na starą Europę którą opuściłem... Pan Stewens tylko uspokajał wszystkich, a wreszcie aby łatwiej tego dokonać, kazał przywołać sternika.

— Co znaczy ten hałas Kandorze, zapytał go gdy wszedł z głębokim ukłonem.

— To ryk tygrysów panie, odparł spokojnie Indyanin.

— Wiem o tem, lecz czemuż głosy ich wychodzą wszystkie z jednej strony wprost naprzeciw statku?

— Bo zgromadziły się w tem miejscu wietrząc obecność ludzi. Jest to zwykły ich obyczaj, który zauważyłem nieraz nocując w tych stronach.

---

nasze i gaje, z pieśnią wieśniaczą, pastuszą lub weselną szlachecką i z chóru kościelnego płynącą, kreśliła arcydzieła niezatartéj we wspomnieniach wartości. Kompozycye te, Bogiem a prawdą, mają inne zwroty *mowy*, inną sztuką faktury odznaczają się, nie tą samą co polonezy Ogińskiego, jednakże niewyskakują luźnie z kolei czasu, i temi samemi dźwiękami kołaczą do naszych serc i umysłów.

Oj! te kaskady tonów rodzą nieraz najstraszliwszą powódź koncertową w naszem miasteczku, zapalającem się do byle *obcéj* muzyki. Dziś jednak rozmiary jej przewyższa *wezbranie* księgozbiorów i półek bibliotecznych od niezliczonych, mnogich, różnokolorowych, kalendarzy i kalendarzyków, wyrastających w Warszawie, Lublinie, Kaliszu, Częstochowie, Kielcach, Piotrkowie, Siedlcach, Łomży, Suwałkach, Łodzi i t. d. i t. d... na każdej fali czasu, na każdym *bałwanie*... chcieliśmy powiedzieć.... dniu, oddzielającym nas od N. Roku. Jedne płyną ku nam jak delfiny olbrzymie, zdobne w illustracye i drzeworyty, mniejszego zaś rodzaju *almanachowe rybki* bez illustracyi lub z kilkoma drzeworytami nieartystycznego wyrobu, zaopatrzone w karmelkowe lub częstochowskie rymy, w humorystykę lub obchodzące się bez niéj, z przepisami jak postąpić sobie aby śmietanka nie zwarzyła się, lub jak ostrożnie należy siekać buraczki aby smaku i słodyczy nie straciły na ogniu, z działem informacyjnym albo bez niego, z taryfą domów i bez niej—nadciągają, spieszą, wyskakują z prass drukarskich, strasząc biednych sprawozdawców swoim coraz innym widokiem. Zda się że w téj massie wybierać niepodobna, — tymczasem wybrać jednak należy, aby za prezentować choć jeden naszym czytelniczkom. Otóż jak dotąd polecamy i polecić możemy J. Noskowskiego „Kalendarz Domowy dla wsi i miasta" starannie opracowany w kościelnym dziale, wcale pokaźny w drobnym zbiorze prac literackich, i systematyczny w swych informacyjnych objaśnieniach. Ma on cechę kalendarza rodzinnego, a cena umiarkowana czyni go przystępnym dla każdéj większej czy mniejszej kieszeni. Co wyraziwszy... zasuwamy tajemniczą kurtynę nad areną pełną almanachowych wydawnictw, nie felieton bowiem, ale obszerną rozprawę wypadałoby nam o nich napisać... ponieważ zaś *przebraliśmy* już miarę w *gawędzie* naszéj, musimy zatem mówiąc *vale* skończyć, i przepraszając pokornie polecić się łaskawym względom.... kochanych czytelniczek i lubych czytelników.

X—i.

— Wszak tygrysy indyjskie pływać umieją? zapytał jeszcze pan Stewens.

— Tak jest panie, odparł sternik, mogą nawet mil kilka przepłynąć.

— A więc grozi nam niebezpieczeństwo! zawołała na wpół z płaczem pani Stewens.

—Nie, bynajmniej, odrzekł Kandor; tygrysy nie rzucają się nigdy w wodę aby szukać zdobyczy. Pływają jedynie wtedy gdy wylew wody zatopi ich wyspę i szukać muszą schronienia na stałym lądzie, lub gdy są ranione i ścigają nieprzyjaciela.

— Możeby wszakże lepiej było oddalić się więcej od brzegu, odrzekł pan Stewens, gdyż ryk staje się teraz prawie ogłuszającym, wszystkie tygrysy Soyoru zbiegły się widać na wybrzeże.

— Ciemność jest tak wielka, mówił sternik, że byłoby dość trudno skierować statek w inną stronę, jesteśmy zaś tutaj zupełnie bezpieczni, nie było bowiem wypadku aby tygrysy napadały statki na morzu.

— Ręczysz więc za nasze bezpieczeństwo? ozwała się jeszcze bojaźliwie pani Stewens.

— Ręczę, odparł pochylając głowę Indyanin.

Gdy wyszedł, pan Stewens uspakajał nas jeszcze mówiąc, że bądź co bądź każe aby wszyscy ludzie uzbrojeni stali na straży przez noc całą, możemy więc zasypiać bezpiecznie. Pomimo to nikt się jakoś do snu nie garnął. Ciemność nieprzejrzana, huk bałwanów i ryk dzikich zwierząt który się powtarzał nieustannie, wszystko to działało zbyt silnie na wyobraźnię. Wszyscy się pokładli dopiero ze świtem jutrzenki. Gdy się obudziłem, czułem po kołysaniu statku że musieliśmy opuścić nasze stanowisko. Wyszedłszy na pokład dojrzałem wyspę Soyor już tylko jak zieloną smugę na widnokręgu, a wśród koryta Gangesu którem znów płynęliśmy, ciągnęło się pasmo innych ślicznych zielonych wysepek, pokrytych bujną roślinnością. (*D. c. n.*)

SZKICE

Z DZIEDZINY CHEMII.

I.

Zdobycze chemii.—Rodzicielka tej nauki.—Alchemik i jego pracownia.—Tablica szmaragdowa.—Nie zawsze wiedza przemawia językiem zrozumiałym dla śmiertelników. — Cele poszukiwań alchemików. — Męczeństwo dla utopii.—Użyteczność szaleńców.—Brandt wynalazca fosforu i Bötticher wynalazca glinki porcelanowej:—Ojczyzna nauki hermetycznéj.—Adepci egipscy,—Gebert. —Grób Hermesa.—Trzej mistrze wiedzy alchemicznéj. Gorączka złota.—Albert wielki i ś. Tomasz z Akwinu.—Rajmund Lulle.— Roger. — Bacon. — Arnold de Villeneuve.—Bazyli Valentin.—Wilk w postaci antymonu.—Pierwszy krok ku galwanoplastyce.—Paracelsus i jego zasługi.—Homunculus.—Alchemicy i szarlatani.—Historya Mikołaja Flamela.—Gadaniny złośliwych.—Podstawy idei alchemików.—Ich zasługi.—Dusza świata.—Ciekawe zjawiska izomeryzmu.—Gaz błotny, acetyl i elayl. —Węgiel i dyament. — Nowe zagadnienie usprawiedliwiające w części mrzonkę alchemików.—Słowa Dumasa chemika o transmutacyi.—Kwestya nierozstrzygnięta

Jedną z najpiękniejszych nauk jest niezaprzeczenie chemia; — badania jej zniewalają kamień do odpowiedzi — woda i powietrze, ziemia i jej twory, a nawet przetwory planetarne, spowiadają się jej ze swych tajemnic. Chemik rozkłada wodę na jej pierwiastki, i powiada nam że w skład jej wchodzą dwa gazy, tlen i wodor, gazy płonące żywym płomieniem.

Analizuje powietrze i znajduje w tej atmosferze zafarbowanej błękitem, który w potocznéj mowie niebem nazywamy, mięszaninę mechaniczną dwóch pierwiastków: tlenu i azotu, z przymieszką drobiazgowych ilości kwasu węglanego. Ziemia przedstawia mu zbiorowisko najrozmaitszych ciał, z których każde zawiera właściwe sobie pierwiastki, to jest ciała proste, nie dające się już dalej rozkładać. Bada on następnie tkankę roślinną i zwierzęcą, i znajduje w nich ostatecznie cztery pierwiastki materyalne: tlen, wodor, azot i węgiel. Tlen, to pierwszy element życia, bez niego nie mogłoby ono ani począć się ani rozwijać—wodor, ten gaz lekkości niesłychanéj, wypełniający balony, jest składnikiem wielu ciał, i znajduje przeróżne zastosowania w przemyśle; — z połączenia się jego z węglem otrzymujemy tak zwany gaz oświetlający, gaz z którego dziś użytkuje każde wielkie miasto; — z węgla pozyskujemy nie tylko światło, ale i przepyszne barwy zwane anilinowemi; — azot stanowi najgłówniejszą, najposilniejszą cząstkę naszego pożywienia.

Chemia wykryła fosfór i zużytkowała go w przemyśle, wynalazła proch strzelniczy, nitroglicerynę i dynamit, to jest ciała posiadające niepospolitą siłę balistyczną—siłę rozsadzającą granitowe skały. Chemia wytworzyła wiele produktów niezmiernie cennych, bromek potasu uspakajający drażliwość nerwów, chloroform i inne znieczulniki, przy użyciu których chirurg może wykonywać najtrudniejsze operacye na ciele schorzałem człowieka, pozbawiając go chwilowo uczucia bólu.

Niepospolitego znaczenia jest doniosłość odkryć chemicznych—rozwidniły one wiele ciemnych punktów naszéj wiedzy, rzucając nowe światło w kwestye dotąd tajemnicze.

Chemia wzięła życie z nauki wielce starożytnéj, przepełnionej symboliką i formułami kabalistycznemi. Jak metal z pomocą topników pozbywający się zwolna w tyglu żużli, tak chemia stopniowo oswabadzała się z zaciemniających ją pojęć alchemicznych.

Cofnijmy się w wieki średnie. W zaułku miasta kryje się alchemik, pospolicie starzec zawiędły, pochylony nad piecem, w którym żarzą się najdroższe jego nadzieje,—poszukuje on środka otrzymania złota z metalów, i *elixiru życia*, które mają odmłodnić jego krew zakrzepłą, obdarzyć go bogactwem i sławą. W ciemnej jego komnacie rozpiera się monstrualny piec—na okopconym kominku wybrała sobie mieszkanie sowa, któréj towarzyszy kruk, nietoperze i kilkunastu pająków — są to zwykli lokatorowie owego *sanctum sanctorum*. Kilka szkieletów ludzkich zawieszonych u sufitu, wypchana jaszczurka, flasze, retorty, moździerzyki, naczynia z rtęcią, kwasem siarczanym i azotnym, alembik, dopełniają umeblowania tajemniczego pokoju alchemika. Na stoliku spoczywa poważna objętością księga mądrości hermetycznéj, a obok niej astrolab, narzędzie posługujące do wymiaru wysokości gwiazd błyszczących w czasie cichéj pogodnéj nocy na firmamencie. Alchemik nasz, potrzeba wiedzieć, jest po trosze astrologiem, radzi się blasku Księżyca i Saturna, śledzi czy te światła wróżą mu powodzenie w operacyach alchemicznych. Spojrzmy na tytuły ksiąg tajemniczych, z poczerniałemi karty od częstego użycia — oto *Zwierciadło alchemii*, *Nowe światło*, *Istota alchemii*, wreszcie *Tablica szmaragdowa* Hermesa Trismegista, bożka a raczéj mistrza téj wiedzy.

Odczytajmy choć jedną kartkę tego traktatu przepełnionego zagmatwanemi pojęciami. Nie zabierze nam to wiele czasu — a niechaj nas nie gorszy chropowatość stylu téj księgi mądrości.

„Prawdą jest bez fałszu i wielce prawdziwem to, że co istnieje na dole, toż samo istnieje w górze, a co jest w górze, to znachodzi się na dole, dla dokonania cudów. A ponieważ wszystkie rzeczy są i poczęły się z rozpamiętywania jednéj, tem samem wszystkie te rzeczy zrodziły się z jednéj przez przystosowanie. Słońce jest jej ojcem a księżyc matką — wiatr był jej łonem, ziemia żywicielką. Ojciec jest wszędzie; jeżeli siła jego zwróci się ku ziemi, oddzielisz ziemię od ognia, siła zwycięży wszelką rzecz subtelną, przeniknie we wszelką rzecz stałą. W ten sposób świat został stworzonym, ztąd wypłyną wspaniałe przystosowania, których środki tu są podane. Ztąd też nazywam się Hermes Trismegist, i posiadam trzy części filozofii całego świata i t. d.‘

Hermes, jak widzimy, nie bardzo jasnym językiem przemawia w swej szmaragdowej tablicy. Biedni adepci suszyli sobie mózgi nad odgadnieniem kabalistycznych okresów jego księgi. Spędzali długie noce bezsenne, chcąc wynaleźć tajemniczy klucz do owych sławetnych recept, które obiecywały im elixir filozoficzny *(menstruum universale)*, mający ich obdarzyć potęgą, bogactwem, zdrowiem i długiem życiem. Alchemik Artephius wszelkie niepowodzenia swe w tych próbach temu tylko przypisywał, że godzina wykrycia tajemnicy jeszcze nie wybiła. Poświęcał on wszystko dla mary—z wytężonem okiem, wyschły, wyżółkły, schylony, wpatrywał się w piec w którym stopił posag swej żony, chleb codzienny dzieci i swoją uczciwość. Piec pochłonął to wszystko — jego wszakże nic to nie obchodziło. Rodzina cierpi głód, — niech będzie cierpliwą, — on jutro, po jutrze, za tydzień, za miesiąc, spodziewa się pozyskać bryłę złota... Wszakże w tym tyglu zrodzić się ma wkrótce *opifex rerum*, płyn młodości, skarbów i życia.

Paskal mawiał, że gdyby nie było szaleńców, nie mielibyśmy ludzi rozumnych. Opłakana historya alchemików dostarcza

mnóstwa faktów okazujących użyteczność niektórych szaleństw.

Brandt alchemik z Hamburga, poszukując napróżno transmutacyi metalów w złoto, prażąc najrozmaitsze i najobrzydliwsze materye zwierzęce, wykrył w końcu pierwiastek wielce cenny: fosfór. Saksończyk Bötticher, siląc się nad wynalezieniem tygli ogniotrwałych, otrzymał kaolin, a tem samem materyę posługującą do fabrykowania porcelany. Bądź co bądź przyznać potrzeba alchemikom wielką zasługę, — przygotowali oni drogi chemii nowoczesnej. Z tego też względu wypada rzucić tutaj choć pobieżny zarys historyi alchemii.

Podobnie jak inne gałęzie wiedzy starożytnej, alchemia wywodzi swój rodowód od znakomitości. Według tradycyi Merkury był jej wynalazcą i pod imieniem Hermesa wtajemniczył Egipcyan w tę naukę, nazwaną przez nich *sztuką świętą*.

Grecy tej sztuce ze względu na imie jej założyciela nadali nazwę *filozofii hermetycznej*, którą przechowała do zdobycia Aleksandryi, odtąd bowiem Arabowie, dzierżyciele owoczesnej wiedzy, nazwali tę umiejętność *alchemią*. (*D. c. n.*)

KRONIKA LITERACKA.

„Poezye“ S. Poznań, 1875. 2 tomy.

Zbiór ten, którego nowe wydanie świeżo ukazało się w tutejszym handlu księgarskim, po części znaliśmy z dawnych wydań. Brzmi w nim nuta i ton silnéj muzyki wspomnień. Każda nieledwie karta wpływem poezyi wielkiéj epoki błyszczy i dźwięczy, śklni się i promieni, chociaż cały pierwszy tomik niewprawna młodzieńca dłoń wygrała na harfie przerastającéj wysokością swoją wzrost młodziana odważnie chwytającego śpiewne narzędzie w objęcia. Łamanie się z formą widocznie tu nieustannie; język nie wie czy ma być pokornym niewolnikiem, czy buntować się hardo przeciw gwałcącemu go dumnie uczniowi, wiążącemu jego harmonijną dźwięczność w rytmiczną i rymowaną mowę. W tych zatargach z pod pióra poety wybiegają wiersze koszlawe, kalekie, — jak ten na przykład:

Ciało mu stęgło nakształt koralu,

w którym frazeologicznéj bezmyślności pełna niejasność, nie ma nic z *licencią poetycką* wspólnego. A i myśl jakaś ciemna, pochmurna, zamglona, wymaga zastanowień się głębokich, potrzebuje rozumowań, bo nie daje się odczuć i pojąć sercem i wrażeniem. Sam podział na dwie połowy, z których pierwsza zwie się najniesłuszniéj *Satyrą* a druga zbyt ogólnikowo *Z życia*, nie daje nam najmniejszego wyobrażenia ani o „satyrze“ ani o „życiu“. Czuć, że poetyczny war wyobraźni rozkołysanéj, gotuje się w kotle, — że buchnie zeń z czasem para co *dzieło wielkie* ożywi i poruszy, ale dotąd *woda* tylko,—wprawdzie kołysząca się falami i pianą od płomienia wewnętrznego, —wprawdzie to ukrop kipiący—ale zawsze woda tylko.

Niosę wam pieśni gorzkie, palące,
Chrzczę je imieniem grzesznem i starem,
I wylać pragnę ognistym warem
Na blizny wasze gnijące.

W tym czterowierszu obietnic wiele,— nieusprawiedliwia ich jednak poemat cały. Ale gradacya rozwijającego się talentu uwidocznia się coraz silniéj—„im daléj w las“.. tem więcéj dobrych wierszy, zdrowych myśli, poetycznych uroczych obrazów. Już w księdze nazwanéj „Z życia“ dramatyczna scena *domu obłąkanych* w znacznéj części mistrzowskiemi nakreślona rysami. W drugim tomiku, chociaż rozproszonym na niby drobne ulotniejszéj natury utwory, znać że poeta zmężniał, że już nie same dobre chęci i olbrzymie zamiary Muza jego pieści na swem łonie, znać że nie zrywa się do lotu, nie opatrzywszy się w orle skrzydła — przeciwnie, szybuje on swobodnie i wysoko. Co raz mniéj Ikarowych upadków; nie fantazya sama, alé ból serdeczny szepcze jéj to gorzkie, to *łzawe* wyrazy.

Napróżno wzrok mój tonie w opalowéj dali,
Napróżno tęskna myśl za krańce jej wybiega...
Marzenie dum swych młodych nigdzie nie dostrzega:
Więc wraca w pierś jak pocisk od pancernéj stali.

Czasami nurzam się we własnych uczuć fali...
Ah! głąb jej gruzy, śmierć i mrok zalega—
I nic już tam natchnienia nie podżega....
Jak okręt co zgruchotał się o las korali,

Tak pieśni mojej trup na rafach sterczy skalnych—
Po nad nim szumi czarny ocean pamięci —
Bezbrzeżny, straszny grób zastępów idealnych,
Gdzie każda fala mię obliczem znanem nęci,
Owiana szmerem cichym westchnień pożegnalnych;
I jękiem pomsty wołającym: „o przeklęci!“

I tu są rzeczy niedomówione, w tem niedomówieniu jednak jest wdzięk i urok formy gwałtownéj, namiętnéj. Tu poeta czuje, że narzędzie mające wyrażać myśl boską, boski musi mieć początek, —że piękna myśl w piękną szatę przystrojoną być winna,— a przytoczony sonet pełen jest dla nas wyższéj, szlachetniejszéj artystyczności, téj która ujawniła się znacznie późniéj we wspaniałym niescenicznym dramacie ukraińskim. To co tu powiedzieliśmy o zbiorze „Poezye S.“ nie jest próżną szermierką wyrazów. W pospiesznem sprawozdaniu, dotykającem tylko drugiego wydania, powtarzać się nie możemy, pisaliśmy bowiem w tym samym przedmiocie dawniéj, dziś tylko skrócenie naszych pojęć i przekonań o rodzaju i talencie autora wyrażamy tutaj śmiało, szczerze, otwarcie. Oddajemy to tylko co mu się należy, jeśli mierzyć zechcemy leżące przed nami książeczki, miarą jego własną z innych utworów. Nie lekceważymy ich, ale nie gorejemy do nich tem przywiązaniem, tą miłością, jaką mamy dla dzieł, nie mówię trzech wielkich poetów, ale dla kilku znakomitych którzy po olbrzymach przyszli. W szeregu tym stoi i autor wspomnianego dramatu, —z którego wyjątki drukowały warszawskie pisma illustrowane. Ah! bo z poezyą żartować nie można, potrzeba albo nie mówić o niéj wcale, albo szukając moralnego *jéj działu* w materyalnym świecie, takie miéć o niéj wyobrażenie szlachetne i wzniosłe jak nasz poeta:

Poezyo! gdzie twoje klejnoty i ziemie?
Jaki dział otrzymałaś z krwawych boju łupów?
Czy rozkosz?.. czy potęgi i przekleństwa brzemię?.

O nie!.. ty klęczysz, korna, pośród stosu trupów,
Łzy niedoli jaśnieją w twoim dyademie,
A wzrok twój ściga pochód Mojżeszowych słupów...

Zyg. Sar.

ROZMAITOŚCI.

Jedna z najzacniejszych, i rzeczywiście a nie z imienia najfilantropijniejszych instytucyj naszych, *Tanie Kuchnie* jest w potrzebie. Zarząd ich w sumiennym i szczerym wywodzie, którego atoli szczupłość ram naszego pisma w całości pomieścić nam tu nie pozwala, we wszystkich większych organach prassy podał do publicznéj wiadomości powody niedoboru w kassie swojéj, zagrażające bytowi instytucyj. Powody te tkwią nie w administracyj, ale w rozmaitych okolicznościach od niéj niezależnych, w rosnącéj coraz drożyźnie, — a w reszcie w tem, niestety! że u nas tylko nowość popłaca, a tanie kuchnie istnieją już lat.... kilka!.... Z razu miały one dobrodziejów, miały aż do zbytku mecenasów, a mianowicie mecenasek, które się też tłumnie cisnęły do dyżurów w nadzorze nad wydawaniem obiadów,—dzisiaj opuszczone, zapomniane, najmniejszéj bezpłatnéj posługi ani pomocy nie mają. Zarząd przejęty samą chęcią utrzymania tak zbawczéj instytucyj, radzi sobie jak może, i obecnie dla poratowania funduszów Tanich Kuchen urządza już raz odłożony, ale w bieżącym tygodniu z pewnością odbyć się mający koncert w sali ratuszowéj. W koncercie tym weźmie udział między innemi pani Celina Bajer warszawianka, śpiewaczka świeżo przybyła z Włoch, uczennica najznakomitszych mistrzów śpiewu włoskich, poprzedzona znakomitą reputacyą, zyskaną ni mniej ni więcéj, tylko na scenie takiego teatru, jak La Scala w Medyolanie. Koncert ten, który obok szlachetnego celu daje nam obietnicę prawdziwéj uczty muzykalnéj i sposobność poznania utalentowanéj rodaczki, będzie próbierczym kamieniem, o ile Warszawę zacne cele, najpierwsze potrzeby biedniejszych braci i talenta rodzime obchodzą. Czekamy niecierpliwie jak ta próba wypadnie.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Октября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 56-go „OGNISKA DOMOWEGO".

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 55.)

— Dobrze więc, trzech, przeciwko ośmiu, powinnibyśmy i tak odebrać im okręt.

— W każdym razie gotów jestem spróbować, powiedział kapitan. Masz pan moją rękę.

— Oto moja. Ale cicho, Manuel idzie.

Mexykanin, olbrzymi, ciężki mężczyzna, z wyrazem niemiłym i okrutnym i z kolczykami złotemi w uszach, wyszedł z kajuty na pokład.

— O czem tam mówicie? spytał podejrzliwie.

— Rozmawialiśmy o tem, Senor Manuelu, jak nas pomieścicie w nocy, powiedział kapitan. Spodziewam się że nas nie poślecie na dół, z majtkami.

— Będziecie musieli jednak tam pójść.

— Wolałbym zostać na pokładzie, rzekł De Benham.

Meksykanin roześmiał się pogardliwie.

— Pójdziesz tam gdzie porucznikowi będzie się podobało cię umieścić, panie nadzorco, powiedział i odwróciwszy się, zaczął się przechadzać po pokładzie, poglądając ciągle na trójkę w niewoli i tak blisko nich przechodząc, że nie śmieli już nic do siebie powiedzieć.

Ósma wybiła, postawiono pierwszą straż nocną, zmieniono ludzi u steru i przy maszynach i porucznik wyszedł na pokład. Kazał przynieść matę i kołdrę do kuchni i tam zamknął, wraz z garnkami i rądlami, kapitana Hay na noc. Było to jednak tylko ustępstwo zrobione jego stanowisku, a De Benham i Arczy musieli zejść na dół.

ROZDZIAŁ VIII.

Paczka z maderą.

Na niewielkim okręcie, którego pierwszą zaletą musiała być szybkość i gdzie najmniejszy kącik miał swój użytek, można sobie wystawić, że przestrzeń zostawiona dla pomieszczenia załogi była bardzo szczupła. Teraz jednak było jeszcze ciaśniej, bo pomiędzy pomostami, w środkowej części, umieszczono stosy pak bawełny, tak że zaledwie można było się ruszyć. Powietrze było ciężkie i niezdrowe i okropna woń stęchłej wody morskiej i smoły czyniła je prawie nie do zniesienia. De Benham i Arczy ułożyli się jak mogli na pakach bawełny i tak przeleżeli całą noc nie zamykając prawie oka. O czwartej, gdy zmieniono straż, wypuszczono ich i wyszli na pokład, szczęśliwi że mogli odetchnąć świeżem powietrzem, szczęśliwi że noc już minęła i że dzień był bliski.

Tymczasem De Benham wyjawiał przyjacielowi powzięty przez siebie zamiar odzyskania okrętu, i Arczy byłby rad w tej chwili zacząć. Kiedy mu De Benham powiedział że trzeba było zaczekać kilka godzin, a może i kilka dni, że działać powinni według rad i rozkazów kapitana Hay, i że nadewszystko lepiej było spokojnie siedzieć niż zawcześnie się wziąść do dzieła i narazić się na niepowodzenie, Arczy w swéj niecierpliwości zaczął oskarżać przyjaciela o zbytnią ostrożność. De Benham mu odpowiedział, że był nierozważnym i roztrzepanym, i różne zamienili nie przyjemne słowa. Ale nie łatwo jest kłócić się po cichu, a to wszystko miało miejsce wśród nocy i najgłębszej ciemności, kiedy leżeli na bawełnie i sześciu federalnych majtków chrapało o kilka kroków od nich. Gniewali się więc na siebie w milczeniu, i rano wyszli na pokład w najlepszej zgodzie. Od dwóch godzin już się tam znajdowali, kiedy kucharz objął znowu w posiadanie swoją kuchnię i wypuścił kapitana. Ten ostatni wyszedł przecierając oczy, bo głęboko zasnął, spał gdy go obudzono. O siódméj, zadzwoniono na śniadanie; jeńcy dostali to samo co porucznik i drugi dowódca, z tą różnicą, że ci jedli w pokoiku nazwanym kajutą kapitana, a jeńcom podano jedzenie na pokładzie w drewnianych miseczkach. Trochę przed południem, Kissiek i Manuel przynieśli swoje narzędzia astronomiczne żeby postrzeżenia czynić, i kiedy słońce przeszło przez południk, wydano obiad w takim samym porządku jak śniadanie.

— Oto porcya biednego Poltera, powiedział Arczy, widząc kucharza przechodzącego z kluczem w jednem ręku i z miseczką pełną grochowej zupy i mięsa solonego w drugiem. Chciałbym żeby mu można posłać butelkę wina dla podtrzymania humoru.

— Zapomniałem! zawołał De Benham, mamy przecie tu paczkę z maderą.

— Teraz do nich należy na nieszczęście! powiedział Arczy.

— Nie wiem nawet czy spostrzegli tę paczkę, tak jest wsunięta pod moje łóżko.

— Nie mów że im o niej, rzekł Arczy, siedząc z nogami zakrzyżowanemi na stosie lin, z miseczką na kolanach i zajadając z apetytem,—nie mów że im o niej, jeżeli mnie kochasz. Bądź pewien że ani jedna butelka nam by się nie dostała.

— Powiem im jednak o niej, odpowiedział De Benham, i chętnie im ją ofiaruję. Niech wszystko wypiją, madera idzie do głowy a na taki czas pić się chce.

Kapitan Hay potrząsł głową.

— Na nic się to nie zda panie De Benham, powiedział, ci Amerykanie mogą nie wiem wiele wina wypić a nie będzie tego znać po nich.

— Jeżeli ich tylko trochę rozweseli i mniej bacznymi uczyni, będzie to już na naszą korzyść.

De Benham zaczekał dopóki Meksykanin nie przyszedł na pokład, a wtedy wiedząc że już wszyscy zjedli obiad, poszedł zastukać do drzwi kajuty.

— Poruczniku Kissiek, powiedział, mam prośbę do pana. Jest tam paczka doskonałej madery pod mojem łóżkiem, a nam jeńcom jakoś nie wesoło; czy nie pozwolilibyś nam pan wziąść sobie parę butelek?

Porucznik, paląc cygaro, rozwalony w krześle i z nogami opartemi o wierzch stołu, podniósł się na te słowa.

— Paczka z maderą? powtórzył.

— Tak, trzy tuziny butelek.

— To najprzyjemniejsza wiadomość jaką mogłem usłyszeć. Dobrze, panie nadzorco, weźże sobie parę butelek i uraczcie się, a resztę tu przyślijcie.

De Benham i Arczy poszli wyciągnąć paczkę, otworzyli ją, wyjęli parę butelek a resztę odesłali do kajuty kapitana. Manuel, przechadzający się po pokładzie z perspektywą pod pachą, patrzał na nich ciekawie, ale się nie odezwał. Niedługo jeden z majtków przyszedł go wywołać. Zostawiając posłańca na swojem miejscu, udał się do kajuty zajmowanej przez porucznika, i do uszów jeńców, przysłuchujących się chciwie, doszedł odgłos odkorkowywania butelek, śmiechów i głośnej rozmowy, a po niejakim czasie Manuel zjawił się czerwony i z wejrzeniem zamglonem i poszedł do swojej kajuty. Porucznik Kissiek, który mu towarzyszył, był zupełnie chłodny i spokojny i obejrzał cały widnokrąg za pomocą swojej perspektywy.

— Panie nadzorco, powiedział, to najlepsza madera, jaką kiedy piłem. Zkąd ją dostałeś?

— Darował mi ją mój znajomy z Charleston, odrzekł De Benham.

— Dobrze się zna na winie, powiedział porucznik.

— I na wielu innych rzeczach, dodał De Benham.

— Ale nie na swoich interesach, tak jak wszyscy ci odszczepieńcy z Południa.

W tej chwili kapitan Hay przyłączył się do nich.

— Cóż, panie Kissiek, powiedział poufale, jakie jest położenie statku?

— Niedaleko jesteśmy od przylądka Halteras, odpowiedział porucznik.

— Mam w kufrze, w mojej kajucie mappę składaną, rzekł kapitan Hay; możebyś pan chciał na niej naznaczyć nasze położenie.

— Owszem, bardzo bym sobie życzył, odpowiedział Amerykanin, jeżeli mappa jest gdzie niedaleko.

— Zaraz ją znajdę, odpowiedział kapitan Hay, idąc ku swojej kajucie, chodź pan ze mną.

Porucznik poszedł za nim a De Benham im towarzyszył, idąc z tyłu.

— Daliście jednak rady trzem butelkom, powiedział ten ostatni, widząc próżne butelki i dwie szklanki stojące jeszcze na stole.

Porucznik się roześmiał.

— Tak, powiedział, ta madera tak miło się pije; ale Manuel szczególniej sobie jéj nie żałował, to też teraz pewno już nie może ustać na nogach. Czy nie możesz znaleźć mappy, kapitanie?

— Owszem, mam ją.

I kapitan Hay, poszukawszy w kufrze, wyciągnął dużą mappę w skórzanym futerale i rozłożył ją na stole..

— Teraz potrzeba nam cyrkla, dodał, panie De Benham, bądź łaskaw mi podać to pudełko z narzędziami które stoi na półce przy drzwiach.

De Benham zamknął drzwi od kajuty, jak gdyby chciał się dostać do półki, zamienił na prędce znak z kapitanem i zaryglował je.

— Co to? zawołał porucznik, odwracając się zaraz.

Ale w tej chwili, kapitan Hay porwał go za obydwie ręce i przytrzymał je w tyle, a De Benham stał nad nim ze sztabą żelazną którą znalazł za drzwiami.

— Milczeć! powiedział nadzorca ładunku cicho i prędko. Poddaj się a nic ci się złego nie stanie, ale jeżeli sprobujesz wołać o pomoc, już będzie po tobie.

Amerykanin spojrzał rozpaczliwie na drzwi i na okno, mocował się przez chwilę gwałtownie, ale po cichu, i widząc że wszelki opór był daremnym, uległ.

— Słuchaj, panie poruczniku, powiedział kapitan Hay, trzymając jego ręce jakby w żelaznych kleszczach, na nic się nie zda mocować się. Postanowiliśmy odebrać wam ten okręt, zupełnie nie dbamy o nasze życie, a mniej jeszcze o wasze. Czy chcesz się spokojnie dać zakneblować i w kajdany okuć, lub czy mamy ci głowę roztrzaskać?

— Dwóch was jest przeciw mnie jednemu, powiedział porucznik przez zaciśnięte zęby.

— Więc się poddajesz?

— Ulegam sile.

— Panie De Benham, znajdziesz knebel w tym kufrze. Otwórz pan teraz usta.

Zsiniały ze złości Amerykanin nie chętnie i nie spiesząc się otworzył usta.

— A teraz kajdanki.

De Benham znalazł kajdanki w oznaczonem miejscu, i w jednej chwili jeniec ich nie mógł się ani ruszyć, ani słowa wymówić, mając knebel pomiędzy zębami i ręce okute za plecami. Kapitan Hay zdjął jeszcze z szyi swoją czarną jedwabną krawatę i silnie mu nią związał nogi; w takim stanie położyli go na ziemi i zostawili.

— A teraz, powiedział De Benham, idźmy do Manuela.

— Zobaczmy naprzód czy nie znajdziemy tu jakiej broni. Gdzie jest rewolwer Kissieka?

— Tutaj, pod poduszką.

— To dobrze, weź go pan; ja mam mój nóż.

Tak się uzbroiwszy, zamknęli swego jeńca, zabrali klucz i poszli na pokład. Kajuta nadzorcy ładunku znajdowała się wprost kuchni, od której oddzielały ją tylko komin i stos pak bawełny, a do tej kajuty, jak mówiliśmy, wniósł się Manuel.

Drzwi były tylko przymknięte, i zatrzymawszy się chwilę, zdawało im się sądząc po oddechu że spał. Mogli także słyszeć jak kucharz w kuchni gwizdał czyszcząc swoje naczynia. De Benham popchnął trochę drzwi i zajrzał.

— Cicho! powiedział. Leży na mojem łóżku i głęboko śpi.

Otworzyli drzwi o kilka cali więcej, wsunęli się po cichu, zamknęli je za sobą i zaryglowali jak tamte. Rygiel był zardzewiały i z trudnością mogli go zasunąć; na ten odgłos śpiący dowódca poruszył się niespokojnie; nie miło było na niego patrzeć kiedy nie spał, ale we śnie był po prostu strasznym.

Łóżko za ciasnem i za małem było żeby pomieścić tego olbrzyma; to też na w pół tylko na niem leżał, z głową przewróconą; żyły na czole mu nabrały, oczy miał na w pół otwarte, piersi obnażone; czapka zleciała na ziemię, pas miał rozpięty i rewolwer jego leżał przy nim na stole.

Ostrożnie i cicho jak kot, kapitan posunął się i zabrał pistolet, podobny do pierwszego i jak tamten z czterema nabojami.

Mieli przed sobą takiego olbrzyma, znać było w nim, nawet we śnie, taką siłę, że przez chwilę się zatrzymali nie wiedząc co z nim począć.

— Uderz go pan sztabą w głowę, żeby go odurzyć do reszty, szepnął kapitan.

Ale De Benham nie mógł przenieść tego na sobie żeby uderzyć śpiącego człowieka.

— Lepiej owinąć mu czem głowę, i związać nogi i ręce, odpowiedział oglądając się czy nie znajdzie firanki lub innego przedmiotu; ale nic nie zobaczył, nic, oprócz kołdry, która, przytrzymana z jednej strony nogą śpiącego, spadała aż na ziemię.

— Daj mi pan swój nóż, powiedział cicho De Benham.

Kapitan podał mu nóż, długi na czternaście cali i ostry jak brzytwa, i za jego pomocą, De Benham, ukląkłszy na jedno kolano, zaczął ostrożnie i prędko obcinać kołdrę. Kapitan Hay stał obok ze sztabą żelazną, gotów się wmięszać za najlżejszem poruszeniem.

W samej rzeczy, Meksykanin nagle otworzył oczy, ale nim mógł poznać co się z nim działo, sztaba padła na jego głowę z głuchym odgłosem; usłyszano rodzaj bulkotania w gardle, zadrżał konwulsyjnie i leżał jak martwy.

— Zabiłeś go pan! zawołał De Benham.

— Bynajmniej. Głowę ma twardą jak słoń. Spiesz się pan, przyjdzie do siebie nim my się opamiętamy.

Z szybkością błyskawicy podarli kołdrę w pasy i przywiązali go do łóżka za nogi i ręce i kilka razy przez środek ciała, tak, że pomimo swej siły, nie był w stanie najlżejszego zrobić poruszenia, a że nie mieli drugiego knebla, De Benham wyjął z biurka kawałek gummy elastycznej, mającej dwa cale w kwadrat, i owinąwszy ją ciasno w chustkę, wcisnął pomiędzy zęby które kapitan Hay gwałtem roztworzył, poczem związał końce chustki w tyle głowy.

— Spodziewam się, powiedział, że mu to nie przeszkodzi oddychać. Chciałbym aby odzyskał przytomność.

— Odzyska ją jeszcze za szybko, odpowiedział kapitan spokojnie. A teraz im prędzej wyswobodzimy Poltera, tem lepiej. Gdzież klucz od komórki gdzie go zamknięto?

— Kucharz go ma, rzekł De Benham.

— Kucharz go miał, ale kucharz go odniósł, bo go jeden z dowódców musiał mieć przy sobie, i oto jest w kieszonce od kamizelki. Schowaj pan teraz swój rewolwer.

Zapięli surduty pod szyję żeby zakryć rewolwery, zamknęli na klucz Manuela jak zamknęli porucznika, i znów wyszli na pokład. Tu zastali Arczy rozmawiającego z majtkami; jeden z tych ostatnich był na straży na maszcie, jeden przy sterze, trzeci szorował podłogę, a czwarty stał na warcie; człowiek pilnujący maszyn i kucharz w kuchni uzupełniali liczbę sześciu będących na straży.

— Porucznik zaprosił nas na szklankę madery do swojej kajuty, panie Blyth, powiedział kapitan Hay, dość głośno żeby go na pokładzie mogli słyszeć, pójdź więc z nami. Potem zwróciwszy się do sternika zapytał:

— W jakim kierunku płyniemy?

— Na północ, pół na zachód, odpowiedział majtek dotykając ręką kapelusza.

Kapitan Hay poszedł do szafki z bussolą, spojrzał na nią, potem na niebo, powiedział że się spodziewa zmiany pogody i odwrócił się jak gdyby szedł do kajuty porucznika. Przechodząc koło człowieka zajętego szorowaniem pokładu, uderzył go w ramię i rzekł:

— Jest tam paka do przeniesienia do pokoju pana Kissiek; zawołaj na kucharza żeby ci pomógł, a ja ci pokażę gdzie się znajduje.

Majtek powstał żywo mówiąc: Dobrze, panie, i pobiegł po kucharza który wyszedł, obcierając ręce o spodnie i wnosząc ze sobą silną woń cebuli.

Kapitan Hay otworzył poziome drzwiczki prowadzące do ciemnej dziury pod pokładem, gdzie składano szczotki, miotły i różne niepotrzebne rzeczy, i kazał im tam wejść.

— Nie widzę tam żadnej paki, powiedział kucharz z niedowierzaniem.

— Była tam temu tydzień, odrzekł kapitan; pójdźcie do końca i otwórzcie lepiej oczy.

Ludzie poszli dalej i zatrzymali się w miejscu gdzie deski górne zniżały się, ale wtedy drzwi nagle się zamknęły, sztaba żelazna została zasuniętą i znaleźli się w więzieniu, wśród najgłębszej ciemności, tak że nikt ich nie mógł ani dojrzeć ani usłyszeć.

— Mamy ich czterech, powiedział De Benham.

— Tak, dodał Arczy, ale jest ich jeszcze dziesięciu.

Z tych dziesięciu jednak, sześciu znajdowało się na dole, odpoczywając po służbie; słyszeli jak głośno pomiędzy sobą rozmawiali i śmieli się, i De Benham nachyliwszy się ostrożnie, mógł widzieć jednego z nich palącego fajkę i opartego o drabinę.

— Nie ma ani chwili do stracenia, szepnął kapitan, jest już siódma, a o ósmej wiedzą że mają ich zawołać. Pomóż mi panie Blyth.

Arczy i on podnieśli ciężkie drzwi, a De Benham stojący w pogotowiu z żelazną sztabą, zawołał:

— Raz, dwa, trzy!

Drzwi spadły z łoskotem, jakby kamień zamykający grób, i w tej chwili usłyszano na dole krzyki i bieganie.

— Prędko zasunąć sztabę! zawołał kapitan Hay, wskakując na drzwi i ciągnąc za sobą Arczy. Podniosą je mimo naszych wysileń.

W samej rzeczy drzwi się poruszały pod ich nogami. De Benham wskoczył więc także na nie, i siła z jaką ten nowy ciężar spadł na nie, popchnęła je znów na swoje miejsce; ukląkł wtedy i zgrabnie zasunąwszy sztabę w antaby, dokończył dzieła.

— Hura! zawołał Arczy z tryumfem. Mamy ich już dziesięciu.

— Nie zawadzi, powiedział kapitan, ponakrywać ich jeszcze pakami bawełny.

Ale w tej chwili usłyszeli wołanie nad głową, i ujrzeli majtka na straży na maszcie dającego znaki swoim towarzyszom.

— Zobaczył nas! zawołał De Benham. Ostrzega ich.

— Niedołęga z niego że dawno już tego nie uczynił, powiedział kapitan wyjmując rewolwer. Uzbrój się w tę pikę, panie Blyth. Nie dziwiłbym się gdyby ci ludzie chcieli się bronić.

Majtek spuścił się jak wiewiórka z masztu, i porwał żelazny młot leżący na pokładzie; drugi wyciągnął swój nóż; sternik nie śmiał opuścić rudla ale zaczął wołać o pomoc.

Kapitan Hay wystąpił z rewolwerem w ręku.

— Na nic się nie zda wrzeszczeć, moi ludzie, powiedział. Okręt w naszych jest rękach. Porucznik, drugi dowódca i wszyscy inni są uwięzieni. Czy chcecie złożyć broń i poddać się?

Trzymając się ciągle obronnie, Amerykanie cofnęli się trochę, stojąc przy sobie, ale ani słowa nie odpowiedzieli.

Kapitan uderzył nogą o pokład i klnąc zawołał:

— Prędko! nie chcemy rozlewu krwi, ale jeżeli się będziecie opierać, zastrzelę was jak psów.

W tej chwili uczerniona twarz ukazała się na schodach prowadzących do maszyn. Anglicy, tyłem odwróceni nie mogli jej spostrzedz, ale Amerykanie ujrzeli ją: była to twarz człowieka pilnującego mechanika i palaczy.

Jednem wejrzeniem objął cały pokład i zrozumiał co się działo; wahał się przez chwilę, nie wiedząc czy wpaść na nieprzyjaciela z tyłu, czy też wyswobodzić swoich towarzyszy zamkniętych na dole, i nareszcie z rewolwerem w jednem ręku, z nożem w drugiem, zwrócił się ku tym ostatnim, pełzając ostrożnie brzegiem okrętu.

Wyraz radości zajaśniał w oczach sternika; Arczy go spostrzegł i odwróciwszy się ujrzał oddalającego się majtka, krzyknął i puścił się za nim.

W przeciągu zaledwie sekundy, znajdowali się na drugim końcu okrętu, trzech przeciwko trzem, mocując się każdy ze swoim przeciwnikiem nad drzwiami prowadzącemi na dół.

(D. c. n)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Октября 1875 г.